

## ROZDZIAŁ 2.

# PRÓBY I SPRAWDZIANY

Ścieżka, którą podąża ktoś chcący zostać szamanem lub uzdrowicielem, jest z góry ustalona. Rodzisz się z mocą, dziedziczysz moc lub może ona zostać tobie przekazana. Potem słyszysz wezwanie. Dlatego większość szamanów łączy więzy krwi – ich rodzice, dziadkowie albo przodkowie byli szamanami. W ten sposób dokonuje się przekaz poprzez struktury genetyczne i psychiczne. Ale nawet jeżeli rodzisz się z tym, niekoniecznie tym „zostaniesz”. Czasami mija pokolenie lub dwa i dopiero się odnawia, tak jak ma to miejsce w artystycznych rodzinach. Wszystkie dzieci artyści w pewnym stopniu dziedziczą jego talent lub zdolności, ale przez całe pokolenie rodzina może tego nie odnotować. W jakiś czas później jedno z wnucząt może nagle wykazać się talentem, zaś ludzie stwierdzą: „Ona jest taka jak jej babka (lub pradziadek)!”. Moc uzdrawiania jest przekazywana w taki, tylko bardziej złożony i trudniejszy, sposób. Jest niezmiernie trudno wyjaśnić to ludziom, którzy nigdy nie żyli na sposób Indian lub nie dorastali w tej tradycji.

Nawet jeśli wykazesz się zdolnościami, ścieżka stawania się szamanem nie jest łatwa. Konieczne jest podążanie zgodne z pewnym rodzajem kosmicznych procedur. Nie możesz iść do college’u, aby się tego nauczyć. Nie jest to studiowanie medycyny na sposób białych ludzi. Nie istnieją książki ani stypendia. Ale musisz przejść przez testy i egzaminy. Łączą się one z poważnym bólem, cierpieniem, chorobą i samą śmiercią, co pozwala odnaleźć dostęp do innych form rzeczywistości. W tym „innym świecie” odnajduje się

wiedzę, doświadczenie, kwalifikacje i moc pozwalającą pomagać ludziom.

Wezwanie przychodzi pod postacią snu, wypadku, choroby, rany, przypadłości, doświadczenia bliskości śmierci albo nawet samej śmierci. Na przykład: gdy miałem cztery lata, moja rodzina zabrała mnie na piknik w region Six Nations w górach Allegheny, za Salamanką w stanie Nowy Jork, w pobliżu miejsca znanego jako Thunder Rocks. Chociaż byłem wtedy bardzo mały, nadal potrafię to sobie wyraźnie przypomnieć. Narzekałem na ból gardła, głowy, skurcze nóg i miałem gorączkę, a długa podróż samochodem z Buffalo pogorszyła mój stan. Nie miałem się wówczas z kim bawić, ponieważ mój młodszy brat w tym czasie dopiero zaczynał chodzić. Chociaż byłem chory, chciałem, żeby byli tam inne dzieci, z którymi mógłbym się bawić. Nie wiem, czy były to moje wyobrażenia, czy też nie, ale zacząłem dostrzegać małych Indian, znacznie mniejszych od mojego młodszego brata. Biegali dookoła, klucząc pomiędzy drzewami, krzewami i skałami. Myślałem, że bawią się ze mną w chowanego. Z powodu choroby nie mogłem się głośno roześmiać. Bawiąc się razem, coraz bardziej oddalaliśmy się od miejsca pikniku. Poczułem się oszołomiony od tego biegania i zabawy i zwalniając tempo, przestałem się bawić. Niewiele pamiętam z tego, co się później wydarzyło, oprócz tego, że mali ludzie ciągnęli mnie, chcąc, bym poszedł wraz z nimi.

Kiedy się obudziłem, byłem w swoim łóżku w domu w Tondawanda. Całe ciało było rozpalone gorączką. W pokoju było ciemno, z wyjątkiem nagłych rozbłysków błyskawic, słychać było potężny huk grzmotów, a wielkie kule gradu oraz deszczu uderzały w okno.

Zobaczyłem ducha stojącego u stóp mojego łóżka i przestraszyłem się. Najpierw pomyślałem, że musi to być sen, ale nie był; wszystko dookoła było rzeczywiste. Nigdy nie zapomnę, jak duch

wyglądał i jak był ubrany. Nosił tradycyjny kapelusz Irokezów ze sterczącym na szczycie piórem orła. Na ramionach miał przepaskę z piór kolibra. Jego białe włosy opadały na naszyjnik z niedźwiedzich pazurów, w ręce trzymał wachlarz ze skrzydła orła i małą fajkę. Gdy drżąc ze strachu usiadłem, podszedł bliżej i powiedział: „Nie bój się, mój synu. Jestem jednym z twoich przodków. Patrz na to, co robię, gdy będę tańczyć i śpiewać dookoła ciebie. Zapamiętaj to, ponieważ pewnego dnia, gdy będziesz starszy, zaczniesz uzdrawiać ludzi w ten sam sposób”.

Cztery razy dmuchnął na mnie dymem z fajki. Następnie oczyścił moje ciało czterokrotnie piórami orlego skrzydła, tak jakby łąpał i odrzucał coś. Położył ręce na mojej głowie, piersiach, żołądku i nogach. Za każdym razem warczał jak niedźwiedź i śpiewał cichutko pieśń, a potem wyrzucił swoje ręce w kierunku okna. Błyskawice i grzmoty stały się głośniejsze, a ja zaczynałem być przerażony. Nagle grad rozbił szybę okna i deszcz, grad i wiatr wpadły z ogromną siłą do mojego pokoju. Owiewały ducha starego człowieka. Skierował się do okna i zebrał deszcz i wiatr złączonymi dłońmi. Następnie podszedł do mnie i pokropił mnie po twarzy. Widziałem wtedy przerażającą czarną rzecz opuszczającą moje ciało, za którą ciągnęły się smugi ognia. Zostało to wysrane za okno i nigdy nie powróciło.

Zacząłem krzyczeć ze strachu. Nie rozumiałem tego, co się działo. Chciałem, żeby przyszła moja mama. Wbiegła do pokoju, zapaliła światło i popatrzyła na bałagan w pokoju. Potem podeszła do łóżka i krzyknęła: „O Boże, on żyje! On żyje! Doktorze, proszę tu przyjść. On jeszcze nie umarł! Niech pan spojrzy, on żyje!”.

Byłem chory i przykuty do łóżka przez tydzień. Kiedy byłem starszy, dowiedziałem się, iż stwierdzono już moją śmierć i czekano na karetkę, która miała zabrać moje ciało. Byłem chory na gorączkę reumatyczną, dziecięcy paraliż i zapalenie płuc. Miałem ponad

106 stopni gorączki. Zanim ktokolwiek mnie znalazł, błądziłem po lesie cztery dni.

Gdy miałem dziewięć lat, umarłem po raz drugi. Razem z wujkiem Earlem Blankenshipem i jego rodziną obozowaliśmy w rezerwacie Cherokee, nad brzegiem sporego strumienia, a właściwie małej rzeczki i niewielkiego jeziora. Mój kuzyn i ja poszliśmy pływać. Kuzyn mocował się z innymi dziećmi i podtapiał je pod wodą, próbując je nastraszyć. Po pewnym czasie nikt już nie chciał się z nim bawić. Postanowił zatem przyciągnąć uwagę innych w ten sposób, że ogłosił konkurs, polegający na tym, iż zwycięzcą byłby ten, kto najdłużej wytrzymałby pod wodą. Chwyił mnie i pociągnął pod wodę. Próbowałem się wyrwać, ale straciłem oddech. Potem musiał złapać go skurcz, ponieważ zaczął krzyczeć: „Boli mnie noga i nie mogę pływać!”. Gdy zaczął tonąć, użył mnie jako podpory, wciskając mnie pod wodę i próbując utrzymać swoją głowę nad powierzchnią. Wpadłem w panikę. Nie miałem już powietrza i nie mogłem się uwolnić z jego śmiertelnego i desperackiego uścisku.

Następnie spostrzegłem, że cały świat stał się czarny. Wpadałem coraz głębiej w otchłań ciemności. Jedna część mnie odczuwała ciężar otaczającej mnie wody, ale druga część czuła całkowitą lekkość. Było to tak, jakbym był wciągnięty w wir, w rodzaj leja, gdzie mogłem dostrzec światło na jego końcu, ale jego ściany były wąskie, ciemne, wirujące. Będąc wciągany przez zimną próżnię, desperacko walczyłem o życie.

Następnie poczułem spokój, po czym ogarnęło mnie uczucie ciepła. Z oddali dobiegał mnie głos indiańskich pieśni. Wydawało się, że pieśni się przybliżają. Znalazłem się w rodzaju wigwamu – ziemianki. Pośrodku znajdowało się palenisko otoczone grubymi słupami, zaś w cieniu śpiewała grupa ludzi. Na słupach wigwamu

zawieszane były różne rodzaje ptaków i masek – Kruk, Wilk i kilka masek, które miały długie, siwe włosy. Pomieszczenie było wypełnione dymem i zapachem palonego cedru. Dwoje starszych Indian, kobieta i mężczyzna, wyszło z ciemności w oświetloną przestrzeń. Byli tak promieniejący, że przyćmiewali sobą czerwony odbłask świętego ognia. Kobieta miała na nogach grzechotki zrobione ze skorupy żółwia i gdy tańczyła, wpadłem w trans. Mężczyzna miał w ręce grzechotkę z żółwiej skorupy, a na sobie tylko spodenki. Miał twarz pomalowaną w białe i czerwone pasy, z szyi zwisał mu naszyjnik z niedźwiedzych pazurów, a na ramionach namalowane błyszczące żółte rysunki. Świecące pasy na ramionach błysnęły, gdy sięgnął po niedźwiedzią skórę i nałożył ją przez głowę. Nie wyglądał już jak człowiek, ale jak niedźwiedź.

Kobieta sięgnęła po miskę wypełnioną gorącą wodą. Śpiewając, wrzuciła do niej jakieś zioła i powoli je zamieszała. Jej długie, związane w warkocz włosy zwisały poniżej bioder.

Przechodząc ponad ogniem, czułem się jak przyciągany magneselem w ich kierunku. Odwrócili się w moją stronę, mówiąc: „Nie powinieneś być tutaj, to jeszcze nie jest twój czas. Usiądź tutaj, na ziemi, napij się tej herbaty”. Gdy piłem, oni zaśpiewali. Śpiew stał się głośniejszy, zaś pozostali ludzie, których nie mogłem dostrzec w cieniu, zaczęli się przyłączać do niego. Mężczyzna tańczył wokół mnie, warcząc jak niedźwiedź. Drapał moje ramiona, piersi i nogi niedźwiedzimi pazurami aż do pojawienia się krwi.

Wypełnione dymem pomieszczenie przyprawiło mnie o senność i zacząłem zasypiać. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam z tego snu, jest wypowiedź mężczyzny, który mówił: „Jesteśmy twoim ludem, odwiedziłeś wigwam uzdrowicieli. Kiedyś będziesz robił to samo dla swojego ludu, zatem zapamiętaj te pieśni. Masz tutaj koszyk z ziołami, wodą, grzechotkami ze skorupy żółwia, skórę i pazury niedźwiedzia i te święte pióra. Kiedykolwiek będziesz potrzebował

naszej pomocy, po prostu zapal tę fajkę, wezwij nasze imiona, a Kruk przyniesie cię tutaj ponownie”. Grzechotka i hipnotyczny rytm wydawany przez żółwią skorupę powoli się oddalały, a cały świat wypełnił się światłem.

W rzeczywistości nie wiem, jak długo przebywałem pod wodą. Oślepiające słońce znajdowało się w zenicie i był to cudowny widok dla kogoś, kto właśnie powrócił z krainy umarłych (a może był to tylko sen?). Wokoło tłoczyli się ludzie. Ktoś podtrzymywał mnie i zaczynał uciskać moją klatkę piersiową. Ktoś inny wykonywał mi sztuczne oddychanie usta – usta. Trwało to jakiś czas, zanim odzyskałem świadomość i zrozumiałem to, co się działo. Słyszałem okrzyk krążącego ponad głowami Kruka. Pieśni brzmiały wraz z każdym uderzeniem serca i zapadłem ponownie w stan nieprzytomności.

Kilka dni później obudziłem się w szpitalu. Byłem w śpiączce, a nawet stwierdzono mój zgon, ciało zaś przykryto prześcieradłem. Potem w jakiś cudowny sposób zostałem wskrzeszony, przewieziony do szpitala na obserwację i leczenie, gdzie doszedłem do siebie. Pomimo całego zamieszania i chaosu dokładnie pamiętam zarówno całe doświadczenie, jak i pieśni. Od tego czasu Kruk zawsze przebywa w moim pobliżu, bez względu na to, gdzie pojadę, od Kalifornii przez Alaskę, Waszyngton do Nowego Jorku. Gdziekolwiek odprawiam ceremonię uzdrawiania, on zawsze przybywa. Wiele nauczyłem się od Kruka. Wiele razy podczas podróży ochraniał moje życie. Powiedział mi, jak używać jego mocy, aby pomóc komuś powrócić ze stanu śmierci lub śpiączki.

Gdy byłem nastolatkiem, miałem kolejne zetknięcie z rzeczywistością śmierci, śnienia i umierania. Podczas letnich wakacji pracowałem jako przewodnik w Chesapeake Beach Amusement Park w stanie Maryland. W latach sześćdziesiątych to miejsce było dzięki

okolicą, ponieważ istniały tam legalne kasyna. Na porządku dziennym były zbrodnie, nadużywanie alkoholu i narkotyków, zaś plaża stała się miejscem spotkań gangsterów napływających z Waszyngtonu, Baltimore, Filadelfii i Nowego Jorku. Było to także letnie miejsce pracy sezonowej dla indiańskich rodzin.

Pewnej nocy wyszedłem z pracy o jedenastej, z zamiarem przejścia dwóch mil dzielących mnie od naszego domu. Była to dziwna, niezwykle cicha noc. Co pewien czas ciszę przerywało pohukiwanie sowy, które sprawiało, że zimne dreszcze przebiegały mi po plecach. Słyszałem więcej sów i przypomniałem sobie, że ich pohukiwanie jest zawsze złym znakiem. Byłem zadowolony, gdy podeszli moi koledzy i zaprosili mnie na imprezę.

Wpakowaliśmy się w dziesiątkę do starego chevroleta. Zjeżdżaliśmy na dół wiejską drogą prowadzącą do miasta. Moi przyjaciele byli już nieźle podpici i poczęstowali mnie wódką Old Crow. Jechaliśmy sto dziesięć na godzinę, gdy niespodziewanie duży, biały pies wyskoczył przed samochód. Mój przyjaciel Frank nacisnął na hamulec, zarzuciło nas i wpadliśmy na słup telefoniczny. Wszyscy oprócz mnie wypadli z samochodu.

Wszędzie była krew. Pamiętam krzyki, potężny huk gnieczonego metalu, jasny, czerwony błysk światła i śmiertelny, cichy świat ciemności. Dopiero gdy ciężarówka pomocy drogowej odciągnęła samochód od słupa, znaleziono moje zdruzgotane ciało.

Irokeski duch opiekuńczy stał nieopodal wraku. Skinął na mnie, abym poszedł wraz z nim. Ku mojemu zdziwieniu byłem świadomy mojej duszy wiszącej w powietrzu ponad zwiędniętym, zakrwawionym ciałem osoby, o której myślałem, że jest mną.

Pamiętam przybycie karetki i drogę do szpitala. Patrzyłem, jak przenoszono moje ciało na oddział intensywnej terapii. Dookoła biegali lekarze i pielęgniarki. Potem zrobiło się bardzo cicho i ktoś powiedział: „Już za późno, przestał oddychać”. Głowę przykryto

mi prześcierałem. Próbowałem im powiedzieć, że nie umarłem. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego mnie nie słyszą.

W następnej chwili przemierzałem otchłań ciemności. W bardzo dalekiej odległości dostrzegłem światło; wyglądało jak gwiazda wieczorna. Światło stawało się bliższe i jaśniejsze. Potem znalazłem się na brzegu rzeki, niedaleko otoczonej gęstym lasem i górami indiańskiej wioski. Razem ze mną był duch dziadka, ten sam, który towarzyszył mi, gdy umierałem jako dziecko i gdy się utopiłem. Wsiadliśmy do canoe, a załoga wyglądająca na wojowników Mohawk powiosłowała w stronę położonej nad brzegiem wioski składającej się z długich, wykonanych z brzoźowych pni domów. Zobaczyłem ceremonię i wielu pięknych ludzi, tańczących w pełnym stroju.

Dobiliśmy do brzegu i zacząłem wysiadać, ale wódz wioski powstrzymał mnie gestem ręki. Za nim stawiła się grupa członków Starszyny, aby mnie przywitać. Matka klanu wysunęła się do przodu i powiedziała: „Jesteśmy twoim ludem, duchami Ziemi, a to jest dom twoich babek. Nie jest to jeszcze właściwy czas, abys przybył do tego świata; musisz wrócić. Stwórca wybrał dla ciebie wyjątkowy żywot, a ty nadal jesteś młody. Tymczasem musisz odjechać stąd, aby pomagać innym, i na pewien czas zostaniesz zapomniany. Napij się tej świętej wody, a będziesz żył długo. Nie smuć się, któregoś dnia znowu nas zobaczysz. Kiedyś dowiesz się, jak stosować tę wodę, aby pomagać innym potrzebującym”.

Starszyna dała mi prezenty, specjalne przedmioty mocy i regalia, mówiąc, że kiedyś będę ich używał w trakcie uzdrawiania i ceremonii. Poprowadzono mnie do canoe i powiosłowaliśmy w dół rzeki w stronę mgły. Gdy mgła się przerzedziła, stwierdziłem, że leżę pod namiotem tlenowym i wszystko oprócz nóg, w których nie miałem czucia, okropnie mnie boli. Do ust, nosa



i ramion przyczepiono mi rurki, miałem nawet założony cewnik. Po zobaczeniu tego straszego widoku ponownie zasnąłem. Miałem złamany kręgosłup, złamane kości miednicy, pogrucho-taną szyję, złamane żebra i wewnętrzny krwotok z uszkodzonych nerek, wątroby i śledziony. Później dowiedziałem się, że znowu stwierdzono mój zgon, lecz jakoś powróciłem do zdrowia, tym razem w chwili, gdy wieziono mnie już na wózku do kostnicy. Spędziłem cztery dni na intensywnej terapii i kolejne sześć dni w stanie śpiączki.

Kiedy na dobre obudziłem się w szpitalnym pokoju, byłem przywiązany do łóżka. Nie mogłem niczym poruszyć. Nadal nie miałem czucia w nogach. Razem z moją strapioną matką siedział koło łóżka doktor Bohlman, specjalista od kości.

„Cóż, młody człowieku – powiedział – wygląda na to, że przeży-łeś ciężkie chwile, ale wydaje się, że wszystko jest już za tobą. Mu-siałem cię na nowo uformować od głowy do palców u stóp, ale nie chciałbym ruszać ponownie twojego kręgosłupa. Dlatego musieliśmy cię przywiązać; nie chcielibyśmy, żebyś się ruszał”.

Przerwał na chwilę, żeby zbadać mój stan. Później przesunął pió-rem wzdłuż mojej stopy i spytał, czy coś czuję. Nie odczuwałem nic: ani bólu, ani łaskotania, ani dotyku. Doktor potrząsnął smutno głową i powiedział: „Przykro mi to mówić, ale muszę być szczery. Masz poważnie uszkodzony kręgosłup i z tego powodu jesteś spara-lizowany. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek chodził”.

Wrażenie spowodowane tym stwierdzeniem sprawiło, że zwymio-towałem na łóżko. Pielęgniarka oczyściła mnie i podała mi środek uspokajający. Po kilku chwilach zapadłem w sen. Nie pamiętam, jak długo leżałem w tym łóżku niczym warzywo, odurzony lekami, ale dało mi to masę czasu do zastanowienia się nad doświadcze-niem śmierci. Rozmyślenia nad moją sytuacją doprowadziły mnie do wniosku, że lepiej byłoby pozostać martwym.

W trakcie rekonwalescencji miałem niezwykle sen:

„Stałem na bardzo wysokim grzbiecie górskim, nie dowierając temu i zastanawiając się, w jaki sposób się tam dostałem. Pomimo zażywanych lekarstw nawet we śnie wiedziałem, że jestem sparaliżowany. Było coś dziwnego w tych górach; jakbym wiedział, że już tutaj byłem, i czułem, jakbym należał do miejsca, na którym stałem. Stary szlak wił się w kierunku olbrzymiej złotej skały, przypominającej w pewnym stopniu komin.

Ta majestatyczna złota skała była niezwykle przyciągająca i tajemnicza; była magnetyczna. Próbowałem iść w jej kierunku, ale nie mogłem się poruszyć; stałem sparaliżowany. Moje położenie było tak kłopotliwe, że krzyczałem z bólu. Nagle usłyszałem głęboki, przejmujący głos niedźwiedzicy grizzly. Wstała na tylne nogi, rozciągając potężne ramiona i ostre pazury, rycząc z gniewu. Jej długie białe zęby błyszczały tuż nad moją twarzą i już miała mnie pożreć. Zacząłem uciekać ze wszystkich sił.

Wysokogórski szlak był nierówny, przy czym wiał mocny wiatr, dlatego potykałem się, upadłem i niemal dałem się złapać rozszalałemu potworowi, którego gorący oddech wciąż czułem na swoich plecach. Biegłem coraz szybciej, próbując powiększyć dystans między nami. Gdy już myślałem, że wysunąłem się do przodu, na ścieżce pojawiła się szeroka rozpadlina. Pusta przestrzeń między miejscem, gdzie stanąłem, a drugą stroną była ogromna. Poda mną był stumetrowy wąwóz skalny. Za mną znajdował się szybko nadciągający, drapieżny niedźwiedź grizzly. Stałem w tym momencie przed czterema ryzykownymi możliwościami wyboru: odwrócić się i walczyć bez broni, spróbować jakoś wyminąć niedźwiedzicę i pobiec do miejsca, skąd przybiegłem, popełnić samobójstwo, rzucając się w przepaść, albo cofnąć się kilka metrów i ostatkiem sił spróbować przeskoczyć na drugą stronę. Zdecydowałem się skoczyć na drugą stronę i z ledwością mi się to udało. Wstrząs, potoczyłem się. Nie-

dźwiedzica grizzly stała po drugiej stronie przepaści, ciągle ryczała, kołysząc się do przodu i do tyłu. Wyglądało to tak, jakby mi mówiła: »Jeszcze nie skończyliśmy, spotkamy się jeszcze«”.

Gdy byłem młodszy, nie rozumiałem znaczenia takich doświadczeń. Śmierć i umieranie, uzdrawianie i otrzymywanie daru nowego życia może być przerażającą perspektywą dla młodego człowieka, nieprzygotowanego do takich traumatycznych przejść. Ale teraz zdałem sobie z tego sprawę, że jest to szkoła szamanizmu. To właśnie przez takie doświadczenia, jeżeli ktoś naprawdę przez nie przejdzie, można stać się szamanem. W tego rodzaju szkole pobieramy nauki o strachu, gniewie, nienawiści, zamęcie. Uczymy się o innych światach i o tym, jak pomiędzy nimi podróżować. Uczymy się o naszej sile i o naszych słabościach, o mocy, miłości, rzeczywistości, uzdrawianiu i o samym życiu. Uczymy się, że istnieją dwa oddzielne, ale współoddziałujące na siebie światy istnienia, świat fizyczny i duchowy. Bramą do tych światów są sny.

To w snach otrzymujemy wezwanie. W snach i późniejszych wizjach odkrywamy naszego ducha opiekuńczego. Poprzez sny dowiadujemy się o tym, że wzywanie nadnaturalnej pomocy jest zupełnie naturalne, gdy inne źródła nas zawiodą i nie można już działać samemu. W snach uzyskujemy duchową wiedzę, obiekty mocy, lekarskie narzędzia i nabywamy pewne formy wiedzy pozwalające zostać szamanem.